

# Spaßverderber

(fragment powieści)

Ninette Nerval

Tego dnia, zgodnie z ustaleniami, zajął łóżko w sali numer dziewięć w południowym skrzydle oddziału. Uprzedzono go, że w przeciągu godziny powinien oczekiwać wizyty pułkownika Błahy. Zgodnie z opinią pacjentów, spodziewał się zobaczyć przystojnego, dobrze ubranego, budzącego postrach gentlemana po czterdziestce. Przy całym uroku ożywionej bogatym, momentami iście wagnerowskim, porażającym vibrato – postaci bruneta lirycznego dr. Błahy trudno było wzbudzić w sobie respekt dla szpitalnego drylu, jeśli przybierał on postać eschatologicznego faux pas przechadzającego się wśród łóżek skarłowaciałego, śmiesznego człowieczka, dwukrotnie niższego od dr. Nichtera. Niechlujny, introwertyczny i kontrowersyjny, w typie lewicowych przywódców Ameryki Łacińskiej, wybuchał nadekspresyjną gestykulacją w stylu Mussoliniego, serwując pacjentom całą serię niespodzianek w ciągu kilku minut. Gdyby za cięte riposty wsadzano za kratki, miałyby dożywocie. Trochę jak prezydent Morales, prawdziwy przywódca związkowy, zapatysta, zawsze w swe trze, Błahy przypominał złośliwego rachityka, ponieważ prawo do szczerości zabrali mu najpierw komuniści, a potem Kościół.

Proszę wstać, przyszedł Kapitan Błahy, oznajmił leżącym w łóżkach pacjentom śmiertelnie przejęty automat, ordynując zmianę pozycji poziomej na baczność przed tym, co męskie, choćby karykaturalne i niegroźne. Przybycie dr. Błahy wyjątkowo w za ciasnej marynarce (męskiego zwielokrotnioną męskością, bo reprezentującego majestat nauki, wojska i rozumu) wniosło w świat pacjentów niepokój. Błahy doskonale wiedział, że jednym z najbardziej niezawodnych sposobów poradzenia sobie z subiektywnym zjawiskiem było błyskawiczne skwantyfikowanie go. Pacjenci troszczyli się przede wszystkim *hauptsächlich, hauptsächlich* o własne ciała, stając się w ten sposób idealnie posłusznymi elementami patologicznej przestrzeni życia szpitalnego. Ponieważ Klipschmeier przebywał w szpitalu najdłużej ze wszystkich, można powiedzieć, iż był już bardziej pracownikiem niż pacjentem. Dolegliwość, na którą się uskarżał, polegała na znalezieniu stosownego języka dla swoich myśli, mając swą podstawę w tym, że tak mało upodobał on w tym, co logiczne, w zdaniach. Procedura badania, choć niespecjalnie skomplikowana, nakładała na pacjen-

ta obowiązek respektowania żelaznej rytmiczno-metrycznej dyscypliny. Zdażył już zauważyć, że szpital zaspokajał neurotyczną potrzebę Klipschmeiera kurczowego związania się z kimś, kto mógł mu zapewnić opiekę. Traktując szpital jako kontynuację utraconej rodziny, tęsknił w głębi duszy za wolnością, za zerwaniem z tym wszystkim, co ograniczało jego swobodę, najbardziej bojąc się zarazem naruszenia tych więzów.

Ponieważ zgłosił się późnym popołudniem, nie przysługiwała mu kolacja. Wieczorem poczuł się bardzo głodny, zakradł się więc do kuchni i ukradł kromkę czerstwego pieczywa. Czego tu szuka?! czego tu szuka?! – oskarżycielskim tonem wrzeszczała salowa. Czy mógłbym dostać coś do jedzenia? Może odrobinę sera? – zapytał nieśmiało, chowając kromkę za plecami. To jest kuchnia czy sta i nie wolno tu wchodzić pacjentom! – zakomunikowała salowa, nalewając mu zsiadłego mleka. Opuścił więc teren skażonej chorobą kuchni brudnej, kurczowo ściskając szklankę z napojem. Odbywająca się w piątkowe przedpołudnie, składająca się z wprowadzenia, solówek, reprzyzy i zakończenia wizyta dr. Blahy przebiegała, jak zwykle, bez zaskoczeń, choć oczywiście po niezapomnianym partnerze słynnego dr. Hartmanna można było spodziewać się znacznie więcej. Mimo iż, trzeba przyznać, wciąż bardzo sprawny, był już chyba trochę wypalony i najwyraźniej sam nie był dostatecznie silną osobowością, by w sposób twórczy prowadzić bardzo zdolny zespół lekarzy, narzekał Weiss. Tego rodzaju zarzuty były w stosunku do Blahy niesłuszne i krzywdzące. Oczywiście, niecodziennym przeżyciem było poznać lekarza, który pracował z największym lekarzem, który operował z asystentem największego chirurga improwizującego w historii szpitala. Można powiedzieć, że niezależnie od wyników procedura badania sprawiała Klipschmeierowi wielką przyjemność. Kiedy lekarz wyjmował stetoskop, żeby za chwilę spokojnym i energicznym głosem wydać Klipschmeierowi nakaz dotyczący rozkoszy, ten leżał w obrzydliwie podniosłym nastroju, emocjonalnie zależny od swojej choroby, wykazując daleko idącą uległość wobec procedur medycznych, jak uczeń, który odrobiwszy przed czasem zadanie domowe, liczy na wysokie noty z zachowania. Blahy i Nichter byli zwolennikami zupełnie przeciwstawnych paradygmatów leczenia. Z Nichterem było jak z Platonem, miał swoją doktrynę ezoteryczną i egzoteryczną, pisaną i mówioną, zachowaną dzięki pamięci uczniów i przyjaciół. Będąc przeciwnikiem ekspresyjnej mocy słów, myśli unieruchomionych na kartkach, receptach, diagnozach, Nichter doskonale bronił się przed zarzutami dotyczącymi niejasności jego deliberacji. To co, jego zdaniem, łączyło prawa medycyny i zdania wyrażające diagnozy z regułami gramatyki, to fakt, że nie dotyczyły one świata, a zatem były w jakimś sensie bezsensowne. Przystawiając medycynę, nabywało się po prostu wyłącznie określonych przyzwyczajęń, opanowywało rozmaite techniki, uczyło pewnych zachowań. Blahy na przykład osiągnął prawdziwą wirtuozerię, opanowując system gestów, zachowań, manierę i styl bycia ordynatora. Tamtego popołudnia, pod nieobecność Nichtera,

po raz pierwszy pojawił się na obchodzie w nieco innej roli, w upragnionej roli ordynatora, zachowując chorobliwą wręcz precyzję. Sprytnie przytrzaśnięty w nowym kontekście, z całą mocą swojego barytonu przypominał wyzwalacz bomby atomowej. Silne ramię prezentującego piękną, nowo nabytą opaleniznę dr. Błahy sprawnie uruchamiało serię kontrolowanych eksplozji w przestrzeni właśnie wysadzanej przez resztę personelu. Całe zajście tak go wyczerpało, iż postanowił uciąć sobie krótką drzemkę, która niepostrzeżenie skończyła się nad ranem w zupełnie nowych okolicznościach.

Tego ciepłego wiosennego przedpołudnia poczuł na sobie spojrzenia obserwujących go nieruchomo ciał, zwalów, kolumn, zbiegowisk. Gdy choroba i ból narastały, człowiek godził się nawet na amputację części swego ciała. Taka właśnie była kolej rzeczy. Wyrugowane ze świata śmierć i obleśna omdłałość fizjologii znajdowały swą przystań w szpitalu św. Gertrudy. Setki nieszczęśników dogorywały schwyte w sidła zastawione przez ich własne ciała. Na pierwszy rzut oka można było dostrzec wszystkie odmiany kalectwa, obmierzłego inwalidztwa. Trasę wytyczały mu dziesiątki owrzodzonych nóg, napawający zaś wstrętem krajobraz w stadium gnicia kazał mu zadać ohydne w swej istocie pytanie o to, na jakich nieszczęściach najwięcej można było zarobić. Lekarze, owi handlarze żywym towarem, wyczekiwali jak hieny na zwalnijacą kolejne łóżko, do którego można by przydzielić kolejnego nieszczęśnika. Wszędzie dało się wyczuć przerażenie, zapach śmierci wyczerpanych, opuszczonych, chorych i zhańbionych. Zaprzędane pustce szpitalne łóżka, owe zawsze skrzętnie zagospodarowane miejsca, zajęta przestrzeń, nigdy nie mogło zostać na dobrą sprawę zwolnione. Niczym w samolocie, pociągu, tramwaju, koniec podróży oznaczał koniec życia. Wielokrotnie zdarzało się zatem, iż podczas obchodu szczególnie schorowani pacjenci, chcąc udowodnić, że są w niezłej kondycji, z nadmiaru wysiłku wymiotowali, a inni mdleli. Ta rozpaczliwa strategia nie mogła przynieść spodziewanych rezultatów, wzięwszy pod uwagę fakt, iż wyleczenie nie było celem działań nie wahających się brać łąpówek – mimo świadomości, że pacjent jest nieuleczalnie chory – lekarzy, których bez większych skrupułów nie wahano się określać mianem sprzedających chorym nieskuteczne lekarstwa, handlarzy ludzkimi organami i ludzkim nieszczęściem, w rzeczy samej szarlatanów.

Najważniejszą, najbardziej ryzykowną i najmniej zbadaną sprawą było tu ustalenie właściwej dawki leczenia. Najwyraźniej nie istniała żadna zasada, żadna reguła, która pozwalałaby bezbłędnie obliczyć optymalną dawkę preparatu, zabójczą dla choroby i nieszkodliwą dla zdrowej tkanki. Ustalenie tej dawki opierało się więc na pewnym doświadczeniu, pewnym wyczuciu i obserwacji stanu pacjenta. To także była wszakże operacja, tyle że dokonywana niewidzialnym skalpelem, na oślepi i rozłożona w czasie. Większość lekarzy nie badała przyczyn zachorowań, ograniczając się do najprymitywniejszych sche-

matów leczenia, większość schorzeń chwilowo zaleczano wszelakimi maściami, szczególną zaś popularnością cieszył się Balsam Szostakowskiego. Philler wpatrywał się w wolne przestrzenie pełne otwartych porów i nieureczywistnionych możliwości, w ramki do kart gorączkowych, wieszaki do woreczków urologicznych, z których wydostawała się ciecz o kolorze brązowym i zapachu nafty, i żywił cichą nadzieję, że jest to w każdym razie problem, który go nie dotyczy. Tamtego popołudnia wszystko wskazywało na to, że wylosował coś, co można śmiało nazwać zestawem śmierci. Przydzielono go do sali numer dziewięć, co mogło oznaczać tylko jedno, boską liczbę, przemnożoną przez samą siebie Trójcę. Wszedł do pomieszczenia i, pilnując, żeby głos mu się nie załamwał, zebrał wszystkie siły, by jednym ciągiem półgłosem powiedzieć „dzień dobry”. Mijając lepkie od chorób sztywne desygnatory, udał się w kierunku losowo wybranego łóżka. Sala nie była pełna, przywodziła na myśl wagony typu amerykańskiego, długie pomieszczenie z rzędami jednomiejscowych siedzeń, jedna wielka sypialnia, którą od sali typu europejskiego odróżniał brak zamykanych przedziałów oraz obecność przypominających stare, zaparkowane w salonie auto, klasycznych siedzeń, które tak bardzo lubił. Powietrze było wilgotne, a, jak należy zauważyć, szpitalne powietrze najczęściej bywa zbyt ostre, takie, które dusi, wykupił bilet imienny i zajął miejsce leżące; Platzkarta bez pościeli. Platzkarta bez pościeli, mamrotał do siebie po cichu. Tuż przed stacją końcową ze snu wyrwał go szarpiący poduszkę konduktor. Odrażająca procedura, Schlafwagen Kuszетка, kuszетка, sliperetka! Zaścielili mu łóżko. Zaszyfrowana przestrzeń szpitala. Wyglądało na to, że zamieszka w punkcie, z którego będzie miał za darmo rozległe widoki. Przypadkiem zauważył kartę chorobową drobnego, wychudzonego, młodego mężczyzny o pociągłej twarzy i surowych rysach. Wyglądało na to, że nie jest z nim zbyt dobrze, leżał tam potwornie siny, gnijąc powolutku, uwięziony pod warstwami flanelowych pidżam, koców i kroplówek, z niepokojąco melancholijnym uśmiechem, podobnym do fiołkowego zapachu, który wydają czasem rozkładające się ciała. Kiedy mijał łóżko hospitariusza, śpiący wzdrygnął się nerwowo, na wpół czujnie się budząc. Teraz dopiero dało się zauważyć przyjemne rysy mężczyzny o jasnych, błyszczących oczach. Pomyślał wtedy, że to właśnie dzięki temu, iż dzielili jedną formę życia, mógł odczytać emocje i postawy na jego twarzy, poprzedzało to wszelkie wnioski, za pomocą którego mógłby wydedukować, że za owym ciałem kryje się pewna posiadająca określone uczucia osoba. Na jego widok mężczyzna wybudził się całkowicie, obrzucając intruza podejrzliwym, żeby nie powiedzieć: wrogim spojrzeniem. Dzikość oczu obcego sprawiła, że od stóp do głów przebiegł go dreszcz.

Kilka dni później, kiedy pewnego piątkowego popołudnia jak zwykle rozciął nierozdziewiczzone woluminy, poczuł się obserwowany. Nauczycielka francuskiego przywiozła mi go na Boże Narodzenie, poinformował przyglądającego się mu badawczo towarzysza niedoli Philler. Miał Pan nauczycielkę

francuskiego? – zdziwił się mężczyzna. To dlatego bez powodu mówi Pan po francusku? Jestem Francuzem, na Boga! To chyba jasne, że Francuzi mówią po francusku, odparł wyraźnie zirytowany Philler. Normalne, tak, ale nie w Niemczech, ciągnął z uporem maniaka hospitariusz przedstawiający się nazwiskiem Klipschmeier. I używa Pan francuskich pieniędzy? Nigdy nie rozumiałem, jak się wymawia nazwiska, francuskie nazwiska tych wszystkich wielkich francuskich filozofów. Wie Pan, że wszystkim Francuzom, którzy opuścili Francję przed odwołaniem lub po odwołaniu edyktu nantejskiego i zechcą osiedlić się na terenie obcych państw, przysługuje prawo naturalizacji, podlegają również wyłącznie francuskiemu wymiarowi sprawiedliwości, który obowiązuje i został ustanowiony dla wszystkich uchodźców? Jakiej kategorii legitymację uchodźcy Pan posiada? Jest Pan cudzoziemcem czy przestępcą? – zapytał, zdradzając typowo niemiecką manierę załatwiania tego rodzaju spraw. – Nie jestem uchodźcą!

Kiedy Klipschmeier wyszedł, Philler przypomniał sobie przypadek Waltera Fregego, zasymilowanego Austriaka, który był w stu siedemdziesięciu procentach Niemcem, w stu dziewięćdziesięciu procentach Wiedeńczykiem i w stu pięćdziesięciu procentach Francuzem, by u kresu życia z goryczą uświadomić sobie, że „nie można narodzić się dwa razy”. Myśl ta napawała go wstrętem. Siedział więc bezwładnie na łóżku, oszołomiony odrażającą konstatacją, nie mogąc wyrzucić z siebie słowa. Niebo się zachmurzyło, najwyraźniej zanosilo się na deszcz. Był to więc system zapadkowy, piękne obrzmienie taediogenego ciała o zdefektowanym uzębieniu.

W poniedziałek rano po tym, jak *pokuli go przeciwieżcowo*, dostał skierowanie do tężni, żeby zażyć inhalacji. Czas [gazowania?] dwadzieścia minut. Dwudziestominutowa suita aerofoniczna na termenvox i płuca. Ponieważ w szpitalu brakowało pieniędzy na podstawowe lekarstwa i wyposażenie, komory znajdowały się w podziemiach, tuż obok krematorium. Wciągnął więc maskę [gazową?], odkręcił lotną, bezbarwną, błyskawicznie przenikającą przez błony śluzowe i skórę, głównie poprzez płuca do krwi, ciecz o zapachu gorzkich migdałów. Gaz stopniowo blokował proces uwalniania tlenu z czerwonych ciałek krwi, w wyniku czego następowało jak gdyby wewnętrzne [„uduszenie”?]. Towarzyszyły temu objawy porażenia ośrodków oddechowych połączone z uczuciem lęku, zawrotami głowy i wymiotami. Czynności fizjologii, piekło fizjologii. Jak długo da się pracować w masce gazowej przy przeciąganiu dwóch tysięcy zwłok z jednego załadunku komory gazowej, potem paleniu i czyszczeniu komory z ekskrementów i wymiocin? Ponieważ od kilku minut potwornie bolały go płuca, gwałtownie zerwał maskę i wybiegł w kierunku windy. Komuś, kto nigdy nie był świadkiem egzekucji przeprowadzanej w majestacie medycyny, można przypuszczać, iż w istocie system szpitala mógłby wydać się wstrząsająco nieludzki. Podporządkowywanie, implantacja ciał w przestrzeń. Parcelacja

choroby. Parcelacja oddziału, którym rządziła zasada entropii – dążenia systemu zamkniętego od stanu mniejszego do większego uporządkowania – przedmiotu najwyższej troski lekarzy i produktu typowej niemieckiej zapobiegliwości połączonej z rozbuchanymi potrzebami poznawczymi – ludobójstwem. Na oddziale nie miało się bezpośredniego kontaktu ze swoim ciałem, chorobą, opozycja podmiot–przedmiot została bowiem zapośredniczona przez aparat władzy, personel szpitala, bezosobowe ciało instytucji, która z definicji nigdy nie zapadała na chorobę śmiertelną, chorobę, która decydowała za tych dotkniętych nią nieszczęśników, kontrolując najdrobniejsze ruchy, bezładne poruszenia, odchylenia od normy, oceniając jednym rzutem oka, wymierzała karę. Krótkie, stresujące, atonalne zderzenia dźwięków, przypominających kryształowe struktury o wysoce kombinatorycznej symetrii, sprawiały wrażenie, że segmenty równie szybko chwyciły, co transcendowały formę skomponowanej melodii. Porządek dokonywał się w natychmiastowości przyspieszeń i nagromadzeniu przestrzeni między seriami przebiegów, w pauzach przed kolejnym wstrząsem szaleńczych kantlyn patologii czy baletu agonalnego. Poszukiwanie przebiegało przez ekstrema na tle młoteczkowania melancholii w niskich rejestrach, alteracji temp i zmiennej melodyki terapii. Tylko basowe ostinato kusiło obietnicą inercji z jednakową uporczywością. Brudna pościel w Entwesungskammer, błoto, kał, kubły pełne śmieci, bezszwowe trzewia i nawet Schoenberg nie przynosiły ukojenia. Z rozmyślań wyrwał go od czasu do czasu przebijający się przez obrzydliwy krajobraz widok wykonujących pompki z towarzyszeniem dźwięków koncertu na fortepian i orkiestrę smyczkową Schnittkego, dobiegających z auli głównej hospitariuszy. Ręka krzywdziła jego ramiona, klatkę piersiową rozdzierając stetoskopem, w oparach chloru posuwała się w kierunku podstawy płuc. Najwyraźniej ludzie ci chcieli żyć, ale pod pewnymi ściśle wyznaczonymi warunkami, zadając się tylko z tymi, których nie cierpieli (jak wiadomo, sympatia może być zbyt obciążająca dla obu stron relacji).

Poniedziałkowe popołudnie upływało na zaduszaniu czasu nic nie znaczącymi czynnościami. Tym razem ordynator dał mu zadanie, które był w stanie wykonać. Jak Pan się czuje?, zapytał, spoglądając mu porozumiewawczo w oczy, choć, jak można było przypuszczać, miał pacjentów za gatunek podludzi i tak ich zresztą traktował, raz po raz zdradzając swoje niezdrowe skłonności (Nichter był zamaskowanym behawiorystą). Dziękuję, dobrze, odpowiedział Philler, uśmiechając się z wyraźnym przymusem. Kłamał już w pierwszym zdaniu, uprzedziwie się z tym męcząc, albowiem, jak wiadomo, komuś, kto wie zbyt dużo, trudno jest kłamać. Muszę znaleźć kwalifikację dla tego bólu ucha, oznajmił prymariusz Nichter, lekko unosząc brew, tak dobrze, niemal tak dobrze jak mistrz gatunku, sam sir Roger Moore. Przyślę tu Panu przystojnego laryngologa, dodał. Zadaniem medycyny nie jest uszczęśliwianie ludzi, ale podjęcie próby wyleczenia, co, jak wiadomo, zwykle nie jest możliwe.

Po kolejnej nieudanej diagnozie przeniesiono go do sali w nowym skrzydle szpitala. Wejście do tego odrażającego miejsca sygnalizował jedynie blask małej, umocowanej nad wejściem, regularnie tracącej napięcie kryptonowej żarówki. Sala na czternastu związanych wielkim kwantyfikatorem, nadzorowanych poprzez ułożenie w brutalnie reglamentowanych odcinkach przestrzeni fizycznej, z jedną umywalnią w kobaltowym kolorze i ruchomymi basenami, mężczyzn. Philler tropił ślady niemieckiej obecności, bacznie demaskując piętrzące się na stosach białych emaliowanych spluwaczek sensy. Napisy szwabachą na kurkach tchnęły grozą. Posegregowane, niczym zalegające na umywalkach *syndety*, czyli kostki detergentowe, spełniające tu nadal rolę kostek myjących, zreifikowane i poddane degradacji przypadki, zarówno ludzkie, jak i zwierzęce, zostały w przestrzeni oddziału skrupulatnie przeliczone, przemnożone na wszystkie możliwe jednostki chorobowe, złożone w serie liczby i obrazy biernych ciał, egzemplarycznych bytów, cielesnych obiektów i łatwych łupów. Natłok, nagromadzenie, pomieszanie. *W przestrzeni pomiędzy dziesięcioma miliardami ciał dwadzieścia miliardów oczu, sto miliardów palców.* W wyniku długotrwałej hospitalizacji najpopularniejsi „dawcy” ciał stawali się szybko trwałymi przedmiotami, aktami medycznymi w czystej postaci. Niektórzy na czczo, niektórzy przestraszeni, redemptoryści, załoganci, wszyscy oni cierpieli na niezbadane choroby. Ludzie ci ugrzęźli w *nieprzetumaczalnych grach słów* (brak przypisu! brak przypisu!), kolejinach nieporozumień, błędnych diagnoz, owej wymuszonej wspólnoty obcych sobie, zatrzaśniętych w miejscu, które utraciło jednolity wymiar, korpusów. Nie byli to, jakkolwiek mogłoby to zabrzmieć, ludzie jego pokroju. Cała sala, wypełniona zaduszonymi dyscypliną żywymi zwłokami, stanowiła doskonałą realizację planu zapelnienia minimalnej przestrzeni maksymalną liczbą bezustannie rozmnażających się, często uszkodzonych, wyczerpanych, wygłodzonych, niespokojnych tkanek. Patologie zostały wprzęgnięte w organizujący system, którego wszechmoc była bezustannie potwierdzana, do tego stopnia, że sama organizacja okazywała się w końcu bardziej znaczącym elementem aktywności, w jakimś stopniu erotycznej, niż materia ciała, którą w zasadzie należało zorganizować. Najwyraźniej nie było tu już nic do ratowania. Cała sytuacja przypominała zdychanie na dwanaście równo natemperowanych tonów. Nie poddające się racjonalnemu uchwyceniu skandaliczne studium rozpadu, budzące większy wstręt niż budowa *Hundertwasser Haus* czy wiedeńska premiera *Kammersymphonie*, odpowiedzialnego za zerwanie więzi między kompozytorem a odbiorcą Schoenberga i będące jej bezpośrednią konsekwencją zamieszki. Nie podlegało dyskusji, iż każda instytucja wykształca własne formy patologii, które wyrażają, w wyolbrzymionej postaci, leżącą u jej podstaw strukturę charakteru. Egzystencja szpitalna wpisana była w system należącej do zaburzeń nadmiaru kontroli nerwicy natręctw. Korzystanie z basenu i podporządkowanie się dyskursowi lekarzy było dla hospitariuszy czymś w rodzaju euforycznego doznania kastracji. Można było to dostrzec między innymi w zawrotach języka czy sposo-

bie budowania zdań. O ile pacjent używał jednego, będącego *ex definitione* źródłem błędów języka, o tyle lekarze byli w posiadaniu dwóch, z których jeden, potoczny, przedmiotowy, przeznaczony był do rozmowy z chorym, drugi zaś, fachowy, przypominający tryb formalny, przesycony fatalizmem metajęzyk, szkaradna niemczyzna, którą można uznać za odpowiednik incestu, przeznaczony był do rozmowy o chorym (łacina!). Personel postrzegał rzeczywistość szpitalną jako serię konstrukcji dyskursywnych. To lekarz był tym, który mówił, opisywał i wytwarzał sensory. Całkowicie nieruchome ciało Karla Klipschmeiera nie poddawało się rytmowi obrzucających się anatemami lekarzy. Język medyczny był martwy, równie martwy jak łacina. Nie miało więc na jego gruncie sensu pytanie o to, które z odnośzeń było bardziej podstawowe: odnoszenie się użytkowników języka czy odnoszenie się wyrażen do czegoś (dlaczego filozofowie muszą zawsze pytać o to, co jest bardziej podstawowe?). Słowo było grafem i gramem, cokolwiek mogłoby to oznaczać. Ponadto w przestrzeni chorobowej posługiwano się trzema czasami: obiektywnym (przeszło-teraźniejszym – to ti en einai – to co było i jest), subiektywnym (przyszłym, ale używanym również do wielu przeszłych i teraźniejszych faktów związanych z okresem przedchorobowym) i uniwersalnym (w stosunku do rzeczy, które były zawsze prawdziwe). Jedyne dr Blahy jak na zagorzałego recentywistę, nie potrafiącego posługiwać się językiem wiecznego schizofrenika, stosował formy przeszłe i przyszłe. Nie dysponując także pojęciem następstwa czasu, był więc skazany na życie w ciągłej teraźniejszości, w której różne momenty jego przeszłości nie były ze sobą powiązane i na horyzoncie której nie było widać żadnej dającej się przewidzieć przyszłości. Jakiś czas temu poprzestał na teorii aktów mowy, której z powodu jej niefalsyfikowalności nie sposób było przyznać statusu teorii naukowej. Akt mowy był, jego zdaniem, jedyną drogą do zrozumienia języka. Pewne wyrażenia, jak sądził, wikały pacjentów w absurdalną ontologię, a doświadczenie potwierdzało przecież, na przykład w przypadku umysł–ciało, że istnieje tylko pewien system zachowań. W świetle tych założeń znajdującemu się w czymś na kształt celi Karlowi Klipschmeierowi nie wolno było być obecnym, przysługiwała mu najwyżej „figura Nieobecności”. Nierzadko odnosił wrażenie, że to nie tyle chorzy, ile raczej ich chore narządy były jedynym obiektem zainteresowania personelu szpitalnego, status zaś obecności posiadała jedynie jego choroba. Szeroko otwarta choroba Karla Klipschmeiera wymiotowała więc w unisono czasoprzestrzenne, aby uzyskać najwyższą liczbę punktów, najwyższe noty w skali oddziaławej. W ten oto sposób sens pytania: Czy Karl Klipschmeier mógłby istnieć, nie będąc Karlem Klipschmeierem, czy też Karl Klipschmeier mógłby istnieć, nie będąc sobą samym? – został zawieszony do odwołania. ●



# Sandens Happyday i Szary Wilk

Lembit Korojedow

– Zapomniałem ci powiedzieć. Maddi wyjechała. Dwa tygodnie temu. Wyszła za mąż za jakiegoś Francuza i wyjechała. Do Paryża... Azzę wzięła ze sobą – powiedział w końcu to, czego Wilk najbardziej bał się usłyszeć.  
– Jak? – Wilk nie mógł ukryć zdenerwowania. – Na zawsze?  
– Nie na zawsze – odpowiedział Sandens. – Do Paryża. To bliżej niż na zawsze.

„Happy families are all alike”  
Constance Garnett feat Leo Tolstoy

Azza... Czerwone, sterczące we wszystkie strony kosmyki włosów. Oczy ma puste, mokro zielone kulki, kiedy Azza jest na hajju, i gorejące zielonym światłem, kiedy Azza się cieszy, kocha, złości się albo pije kakao. Pięgi rozsypane na obu policzkach biegną łukiem przez nos. I ten sam nos, choć ulepszony przez chirurga plastycznego, pozostał zadarty i zachował dziwne skrzywienie pośrodku. Wielkoucha Azza, jakby ktoś włożył jej zapałki za uszy. A zęby! Dwa przednie królicze, kiedy Azza się uśmiecha, przesłaniają cały świat, a gdy się roześmieje... Wtedy widać wszystkie trzydzieści dwa zęby, a każdy z nich jest inny. Azza wielkousta, ma bliznę biegnącą od ucha pod wargę, sterczące obojczyki i drabinki żeber, których nie można ukryć pod żadnym ubraniem, a piersi... Cóż, piersi jeszcze urosną. Azzo, będziesz miała i piersi. Moja piękna Azza...

## Rozdział 1, w którym Wilk staje się ofiarą przemocy

„Put your ass on the floor an’ don’t ask why  
Boom bidy bye bye”  
Cypress Hill

– Och, bożecku, cóż to takiego?! – kobieta wrzasnęła z udawaną odrazą i Wilk od razu przypomniał sobie, gdzie jest. Bazar. Asfaltowa ścieżka, na poboczu żwir i błoto. Poczł ziemię i krew w ustach. Przekręcił głowę na bok i wypłuł okruch zęba zmieszany z brudem. Poruszył palcami u rąk.  
– Żywy, żywy, rusza się! – krzyknęła z zachwytem jakaś kobieta.

– Uuuuuuu – dało się słyszeć obce głosy, najwyraźniej zdążył już zgromadzić się tłum. Wilk ostrożnie przeturlał się na bok, żeby zobaczyć, co się dzieje. Było tak, jak przypuszczał: rynek, tłum gapiów, przekupki o dźwięcznych głosach, napięte twarze Kaukazów i ciekawscy przechodnie.

– Milicja, milicja jedzie – przetoczyło się przez tłum i Wilk zamknął oczy w oczekiwaniu. „Ciekawe, czy pomyśleli o pogotowiu – pomyślał. – Pewnie nie, ale nie nie poradzisz. Moje miejsce jest teraz w szpitalu”.

Niedaleko zatrzymał się radiowóz, z którego wysiadł młody podporucznik. Przecisnął się przez tłum gapiów i ostrożnie szturchnął nogą leżącego w brudzie Wilka.

– Ej ty, wstawaj – porucznik najwyraźniej od razu uświadomił sobie, że Wilk naprawdę jest poszkodowany, bo pochylił się nad nim i z pewną czułością dotknął dłonią jego ramienia, tak jak dotyka się staruszki, która choć nie zdążyła dojść do ubikacji, to wciąż pozostaje naszą ukochaną babcią i traktujemy ją z należnym szacunkiem i czułością.

– Y–e–i–a – Wilk przestał udawać trupa i wydał z siebie dźwięk, który powinien wykluczyć przesłuchanie i przyspieszyć transport do szpitala. Żeby być bardziej wiarygodnym, przerzucił jedną nogę na krawężnik, jakby próbował się podnieść, ale noga demonstracyjnie wykręciła się nienaturalnie jak u lalki, nad którą znęcają się dzieci. Porucznik westchnął z ulgą, że brudnego i okrwawionego poszkodowanego nie trzeba zabierać do radiowozu.

– Zaraz przyjedzie pogotowie – powiedział milicjant do pobitego.

– Papierosy. W kurtce, w kieszeni – wyartykułował Wilk. – Pomóż się sztachnąć. Porucznik nie odmówił: wyjął papierosy z kieszeni i pomógł Wilkowi zapalić.

– Siedziałeś? – zapytał krótko.

– Yhy – potwierdził Wilk, po czym przetoczył się na plecy i z przyjemnością zaciągnął papierosem.

## Rozdział 2, w którym pierwszy raz pojawia się Sandens

„I open my eyes and see the sun dance

An’ I’m so excited that I piss in my pants”

Azzie DaFouuu

Sandens pojawił się w szpitalu po dwóch tygodniach, kiedy Wilk doszedł już do siebie i zatęsknił za swoimi sprawami. Oczywiście Wilk bardziej czekał na wizytę dziewczynek, bo przecież o wiele przyjemniej, kiedy w szpitalu odwiedzają cię kobiety: współczują, całują, szepczą czułe słówka albo przynoszą mandarynki. Ale wszystko wskazywało na to, że nikt im nie powiedział, gdzie wylądował Wilk. Najbardziej czekał na odwiedzinę Azzy i z jakiegoś powodu był pewien, że dziewczyna na pewno przyjdzie. Przecież Azza nie może nie przyjść. Ale ona też nie przychodziła. Wilk zaczął już podejrzewać, że nikt nie wie o jego nieszczęściu, kiedy nagle zjawił się Sandens.

Stało się to, gdy pewnego razu Wilk skierował się do łaźni. W przedsionku, na pokruszonych stopniach schodów, Wilk zastał przycupniętego Sandensa. Siedział i uśmiechał się z naturalnym dla siebie głupim grymasem. Obok niego stały dwie dziwne, duże torby w kratę, których używają handlarze.

– Cześć – Sandens uśmiechnął się jeszcze szerzej, równocześnie podniósł się ze schodków i niepewnie rozłożył ręce.

– Czołem – Wilk przyskoczył do Sandensa, wspierając się na kulach, i pozwolił się objąć.

– Bracie, wreszcie udało mi się wpaść do ciebie – Sandens podtrzymał Wilka za ręce, pomagając mu usiąść na schodach. – Zarobiony jestem. Ale tak sobie myślę, że na początku na pewno by mnie do ciebie nie wpuścili.

– Tak – Wilk położył kule wzdłuż ściany i rozsiadł się wygodniej na stopniach. – O twojej miłości do bliźnich krążą już legendy.

– Aha – przytaknął Sandens. – Przyniosłem ci co nieco. W garczku jest rosół – rozpiął zamek jednej z toreb i pokazał Wilkowi duży garnek. – Ale mięso wyrzuciłem, przecież i tak nie możesz jeść – Sandens, wyraźnie szukając dla siebie usprawiedliwienia z powodu zjedzonego mięsa, zajrzał Wilkowi do ust z nadzieją, że zobaczy druty na zębach. – Popatrz tylko, wszystko przewidziałem!

– usatysfakcjonowany Sandens wyjął z wewnętrznej kieszeni paczkę słomek i zręcznie włożył je do kieszeni Wilka. – Bierzesz, znaczy się, słomkę i wkładasz ją do garnka...

– Papierosy przyniosłeś? – przerwał mu Wilk.

– Oczywiście – Sandens przyciągnął do siebie drugą torbę, która przyjaźnie jęknęła.

Z torby wyjął dwa kartony marlboro i słoik musu jabłkowego dla dzieci. Wilk, milcząc, obserwował, jak w ręce Sandensa nagle pojawił się zaostrzony w szpic śrubokręt, który zręcznie wetknął w twarde wieczko słoika.

– Wszystko przemyślane do ostatniej drobnostki – powiedział zadowolony z siebie Sandens. – Bierz! – podsunął Wilkowi słoik musu z przebitą nakrętką.

– Wkładasz tutaj słomkę i pijesz. Dziurka idealnie pasuje.

Wilk obserwował to wszystko w milczeniu, ale w końcu nie wytrzymał.

– Czyś ty zgłupiał do reszty? – krzyknął głosem przypominającym głos Jima Morrisona w piosence *Love Me Two Times*. – Ile masz tych słoików?

– Sześćdziesiąt – spokojnie odpowiedział Sandens. – Niepotrzebnie się martwisz, wódkę też przyniosłem – pogrzebał w torbie i pokazał Wilkowi dwie butelki. – Będziesz mógł się rozerwać. Bierzesz słoik i przebijasz go szpikulcem, upijasz połowę musu, dolewasz wódki i pijesz jak koktajl. Pomaga zachować bystrość umysłu.

– No dobra – Wilk rozerwał karton, wyjął papierosa i zapalił. – Co słyhać na wolności? Wiesz, kto mnie chciał zaszlachtować?

– Nie-e – głupi uśmiech w końcu zniknął z twarzy Sandensa. – Myślałem, że ty mi powiesz.

– Ja też nie wiem – w zamyśleniu powiedział Wilk. – Zagadkowa sprawa. Nie

jestem w mieście aż tak długo, żeby zasłużyć sobie na takie traktowanie. Zmien adres na jakiś czas, tak na wszelki wypadek. Może to przez nasze interesy ktoś mnie tak urządził?

– Raczej nie – Sandens też zapalił papierosa. – Jakie my mamy interesy? Jakieś drobnostki. Zresztą wtedy najpierw by nas uprzedzili, dali pstryczka w nos dla profilaktyki. To jakaś grubsza sprawa. Adres już zmieniłem – Sandens chrząknął. – Telefon zresztą też. Chyba popadam w paranoję, ale kiedy wracam wieczorem do domu i widzę jakichś ludzi pod blokiem, to mam wrażenie, że przyszli po moją duszę. Masz tu klucz, adres zapisałem na breloku – Sandens wyjął z kieszeni klucz i schował go do kieszeni Wilka obok słomek. – Jak wyjdiesz ze szpitala, to się wprowadzaj, ja i tak muszę na jakiś czas wyjechać.

– Uciekasz?

– Nie, mam robotę – Sandens zawahał się. – Jadę z pewną damą na południe. Krótko mówiąc, jest okazja zarobić trochę kasy.

### Rozdział 3, w którym wyjaśnia się, dlaczego Sandensowi tak śpieszyło się na południe

„Dollar bill y’all  
Dollar bill y’all  
Dollar dollar dollar  
Dollar dollar dollar billy’all”  
Cypress Hill

Zdarzenie, które sprawiło, że Sandensowi zaczęło śpieszyć się w daleką drogę, miało miejsce tuż po tym, jak wyrzucono go z klubu bilardowego. Nawiasem mówiąc, o zbliżających się wydarzeniach dzień wcześniej uprzedziła Sandensa pewna ładna, ale irytująca osoba, która odwiedziła go, żeby naciągnąć na parę groszy.

Ta osoba, określająca się mianem modelki, po wypiciu znacznej części alkoholu z barku i kilku bezskutecznych próbach uwiedzenia Sandensa, niby w ramach pożyczki, dostała od niego pieniądze. Może z wdzięczności, może dla zemsty, modelka w drzwiach zakomunikowała, że podobno Sandensa wszędzie szukają jacyś ludzie. Powiedziała to z taką odrażającą kokieterią, że Sandens zupełnie nie zrozumiał, jacy ludzie go szukają i po co. Nie zrozumiał też, czy zwiastuje to coś dobrego, czy wręcz odwrotnie – niebezpiecznego dla zdrowia. Niestety, ona sama nie wiedziała, dlaczego w barze wypytywali o Sandensa, i to nie tylko ją, ale też innych jego znajomych. Rozpytywali, gdzie to on przepadł: nie odbiera telefonu, nie ma go ani w knajpach, ani w domu.

Po tajemniczym błysku w oku modelki Sandens domyślił się, że mężczyźni, którzy go szukali, byli dobrze zbudowani. Intuicja i długie życiowe doświadczenie podpowiadały mu, że modelki i Sandens gustują w różnych typach dobrze zbudowanych mężczyzn. Sandens z żalem zaczął się zastanawiać, dlaczego +

w ogóle go szukają. Poza rozwiązłością nie miał innych znaczących grzechów na swoim koncie i doszedł do wniosku, że w naszych okrutnych czasach mogą człowieka szukać nawet za coś takiego. Szczególnie w obliczu faktu, że jego najlepszy kompan Sergiej Wolkow, znany jako Szary albo Wilk, już drugi tydzień liże rany w szpitalu. A Wilk w opinii Sandensa był zdecydowanie niewinny, swój jedyny poważny występek odpokutował ośmioletnią odsiadką. Składając wszystkie niejasności w całość, Sandens zmienił mieszkanie, wyprowadzając się z centrum na obrzeża miasta, a adresu nikomu postronnemu nie podał.

Wspomniana już awantura w barze bilardowym zdarzyła się wieczorem. Trzeba przyznać, że Sandens ostrożnie omijał miejsca uciech, gdzie mogli go znaleźć dobrze zbudowani mężczyźni. Jednak kiedy wypił już kilka butelek piwa na ulicy, nie wytrzymał i wstąpił do baru, którego dawno już nie odwiedzał, i był pewien, że nikt już tam o nim nie pamięta. W barze szybko zapoznał się z krótko ostrzyżonym Johnem, na koszt którego wypił pół litra whisky. John przypominał zawodnika rugby, wyglądał trochę jak Szkot, trochę jak Irlandczyk. Ostatecznie okazało się, że Szkot John wcale nie gra w rugby, tylko jest kierowcą i jakimś cudem znalazł się w klubie bilardowym. Gdy butelka whisky była już pusta, John zaczął szczerze mówić o sobie. Opowiadając o swojej żonie, powtarzał cały czas: „She’s so ugly, see?”. Kończąc opowieść zapatrzył się w jakiś punkt na końcu baru. Sandens skierował wzrok w tę samą stronę i zauważył, że uwagę kierowcy przykuła ładna dziewczyna ze skośnymi oczami, wyraźnie wskazującymi na jej chińskie korzenie. Pochodzenie dziewczyny podkreślał też fakt, że wokół niej siedziało kilka tak samo skośnookich istot płci męskiej, które rozmawiały po chińsku.

Szkot John okazał się szybki, nie lustrował długo Chinki, po prostu wstał i podszedł poprosić ją do tańca. Nie minęło kilka sekund od zaproszenia, jak walnął w zęby wstającego ze swojego miejsca Chińczyka. Co było dalej, Sandens zapamiętał słabo. Jakimś sposobem znalazł się w centrum awantury, wymieniając ciosy z wielkim Chińczykiem. Później w tajemniczy sposób w jego rękach znalazło się krzesło, którego nie zdążył użyć jak należy, ponieważ ochroniarz zrzucił go ze schodów wprost na ulicę, Irlandczyka Johna zresztą też. Nie pomogły zapewnienia Sandensa, że krzesło chciał wykorzystać wyłącznie w celach obronnych, bo w rękach Chińczyka wyraźnie widział nóż, i jeżeli już kogoś należy wyprowadzić z lokalu, to właśnie tego Chińczyka z nożem, a nie Sandensa i Johna.

Na ulicy Sandens odkrył, że Szkot John nie może już ustać na nogach. Spróbował się od niego uwolnić, sprawnym podcięciem wpychając obcokrajowca do taksówki. Ale Irlandczyk John wcale nie chciał odjeżdżać, czemu skutecznie przeciwdziałał wszystkimi znanymi sobie sportowymi trikami. W końcu udało się Sandensowi nacisnąć głowę Szkota tak, że przeszła przez drzwi samochodu, wtedy John nagle wyciągnął palec wskazujący w stronę wejścia do baru i zawył: „Look there! A whore! She’s a whore. I want this whore”. Sandens

popatrzył we wskazanym kierunku i zobaczył ładną dziewczynę z cienkim papierosem w dłoni.

– No – ostro zaprotestował Sandens. – She’s not. She’s just a girl.

– Yes – nie zgodził się Irlandczyk John. – I bet she’s a whore. I can tell a whore from a girl – spróbował wysiąść z samochodu, ale nie miał wystarczająco dużo siły w nogach i Sandens wepchnął go z powrotem.

– Bastard. Fuckin’ bloody bastard – smutno powiedział John na pożegnanie i odjechał.

Sandens stał chwilę na chodniku. Kołysząc się, trawił to, co się właśnie wydarzyło. W końcu okręcił się wokół własnej osi i podszedł do dziewczyny przy drzwiach.

– Cześć – powiedział. – Pojedziemy do mnie? Pięćdziesiąt dolarów.

– Sto dolców i pojedziemy – dziewczyna się uśmiechnęła, choć Sandensowi wydało się, że niezbyt uprzejmie.

– Aha – odpowiedział mgliście. Zastanawiał się właśnie, czy powiedzieć dumnie „nie”, czy wykazać brak charakteru i zgodzić się, gdy za jego plecami zatrał samochód.

Sandens nie znał tego auta, widział je po raz pierwszy, ale kto jest jego właścicielem, domyślił się od razu. Potocznie tego typu samochody nazywa się limuzynami i zazwyczaj wynajmowane są do teledysków początkujących gwiazd popu. Wśród znajomych Sandensa był tylko jeden człowiek, który mógł mieć takie cacko – Borja Rabinowić. Przypuszczenie szybko się potwierdziło. Tylnie drzwi limuzyny otworzyły się i na chodnik wychynęła dobrze znana Sandensowi damska nóżka w drogim włoskim buciku, należąca, co zrozumiałe, nie do Borii Rabinowicza, ale do zdecydowanie bardziej sympatycznej osoby.

– Sanni, długo każesz na siebie czekać? – usłyszał Sandens od właścicielki nóżki. Głos należał do Elizawiey Wasiliewny Rabinowić, istoty co najmniej pięknej, jak na swoje czterdzieści parę lat.

Sandens nie kazał na siebie długo czekać, podbiegł do samochodu i wskoczył na tylne siedzenie wprost pod skrzydła Elizawiey Wasiliewny z prędkością wymierzoną tak, by nie pokazać zbytnej usłużności, ale okazać należyty szacunek. Sandens, ciesząc się, że Borii Rabinowicza nie ma w samochodzie, czule pocałował Elizawietę Wasiliewną w usta, ostrożnie zerkając na tył głowy Dusiciela albo Pytona, jednego z głuchoniemych ochroniarzy-pederastów, których Sandens nigdy nie mógł rozróżnić. O ile legenda o ich orientacji seksualnej nie budziła wątpliwości, o tyle ich głuchoniemość była sprytnym wybiegiem Borii Rabinowicza. Ochroniarze słyszeli wyśmienie, a być może nawet potrafili mówić. Tego Sandens nie wiedział na pewno.

I właśnie wtedy Sandens otrzymał kuszącą propozycję, której nie mógł nie przyjąć. W ciągu pięciu minut wzajemnych czułości i dopytywań Sandens z ulgą stwierdził, że na mieście szukali go właśnie ochroniarze Borii, Dusiciel i Pyton. Na szczęście nie na zlecenie samego Borii Rabinowicza, tylko „z woli jego żony”. Po czym Elizawiea Wasiliewna przeszła do sedna sprawy.

– Mam dla ciebie propozycję – zakomunikowała Sandensowi. – Możesz to uznać za prośbę, jeżeli będzie ci tak wygodniej.

– Tak, Lizo? – Sandens okazał zainteresowanie, znowu zerkając na tył głowy szofera-ochroniarza.

– Czy nie zechciałbyś spędzić ze mną trochę czasu? – Liza pokazała oczami na ochroniarza i lekko kiwnęła głową, dając Sandensowi znak, że wszystko idzie zgodnie z planem i nie ma się czego obawiać. – Powiedzmy, że jakiś dłuższy czas... miesiąc... albo dwa? Z odpowiednim wynagrodzeniem oczywiście.

Nie bacząc na pokusę, żeby poznać oferowaną sumę, Sandens wytrzymał.

– Powiedzmy – kontynuowała Liza – tysiąc dolarów za miesiąc, przy czym wszystkie wydatki pokrywam ja. Oczywiście wszystkie twoje osobiste wydatki również biorę na siebie.

Tutaj Sandens zamyślił się. Sama umowa kupna–sprzedaży nie zawstydzała go ze względu na powody, które czytelnikowi dane będzie odkryć nieco później. Sandens natomiast zamyślił się nad proponowaną sumą wynagrodzenia. Jego zdaniem, Elizawieta Wasiliewna Rabinowić mogła pozwolić sobie na wyższe wynagrodzenie. W końcu Sandens zdecydował, co robić.

– Lizeńko – powiedział delikatnie. – Przecież wiesz, że z tobą gotów jestem spędzić tyle czasu, ile tylko będziesz chciała, nawet za darmo. I już teraz jestem gotów pojechać z tobą, dokąd tylko zechcesz.

Liza pokręciła głową, co powinno oznaczać, że teraz jeszcze nie trzeba.

– Niestety – kontynuował Sandens – na najbliższy czas miałem zupełnie inne plany i... No, w ogóle, za tysiąc dolarów nie chciałbym ich zmieniać. A tak na marginesie, to dokąd mamy jechać? Oczywiście, jeżeli pojedziemy.

– Interesowny chłopczyk – Liza uśmiechnęła się. – Zasięgnęłam języka na temat twoich planów i sposobu spędzania czasu. Najczęściej tkwisz w barach, gdzie upijasz się jak świnia albo sprowadzasz do swojego mieszkania niezbyt porządne dziewczynki, które posyłasz do sklepu po piwo i pielmieni. Na dodatek mieszkasz z podejrzanym łysym typem o przydomku Wilk, który tak jak ty uwielbia piwo, wódkę i trawkę. Na wasze dochody składa się twoja pensja alfonsa i pensja Wilka z jakichś ciemnych interesów, które robi na rynku z podobnymi do niego półkryminalistami. Ostatni twój artykuł w gazecie ukazał się miesiąc temu, a pisać do pism pornograficznych przestałeś już dawno. Widzisz, jak dużo wiem o tobie? – Liza delikatnie poklepała Sandensa po karku. – Więc ile chcesz dostać, interesowny chłopczyku?

– Lizeńko – Sandens odpowiedział na czułość, gładząc Lizę po dłoni. – To wszystko prawda. Zrozum, moje życie może i nie zachwyca, ale jest absorbujące i choć pewnie nie uwierzysz, zaczyna mi się podobać. Jakoś nie mam ochoty nagle zrywać się z miejsca i jechać, gdzie oczy poniosą, nawet z bardzo miłą mi osobą, tylko za tysiąc dolarów. Za pięć kawałków bym pojechał...

Liza roześmiała się i Sandens zrozumiał, że ma pięć tysięcy w kieszeni.

– Chytrusek – powiedziała Liza. – Wiesz przecież, że dostaniesz, ile zechcesz. Powinam ci się przyznać, że jesteś mi potrzebny jak nigdy i dlatego nie mogę ci

odmówić. Borys ostatnio zachowuje się jakoś dziwnie. Oświadczył, że ma jakieś ważne sprawy i przepadł nie wiadomo gdzie. Zostawił mnie zupełnie samą, dając wolną rękę w wyborze sposobu spędzenia urlopu i doboru rozrywek. A moją rozrywką jesteś ty, Sandensie, i skoro Boria nie ma nic przeciwko, to i ja nie mam zamiaru zaprzepaścić takiej szansy. Pojedziemy, dokąd tylko zechcesz.

– Dokąd zechcę? – zawahał się. – Lizo, a możemy pojechać do Paryża? – Ostrożnie zaproponował. – Nigdy nie byłem w Paryżu.

– Zatem do Paryża. – Zdaje się, że Elizawieta Wasiliewna nie zauważyła żadnego podstępu w słowach Sandensa. Zapewne czytelnik też jeszcze nie zauważył, a podstęp oczywiście był, o czym nieco później. ●

Tłumaczenie z języka ukraińskiego: Michalina Niedworok

Kijów (2013)  
fot. Marek Wasilewski

